GOSPODARKA NARODOWA

NIEZALEŻNY DWUTYGODNIK GOSPODARCZY

WARSZAWA, 15 PAŹDZIERNIKA 1936 R.

Nr. 20 ROK VI

CENA NUMERU ZŁ. 0.90 PRENUMERATA KWARTALNA 4. ZŁ. GR. 50

GOSPODARKA NARODOWA

NIEZALEŻNY DWUTYGODNIK GOSPODARCZY

Nr. 20
1936 R.
15 — X

KOMITET REDAKCYJNY
CZESŁAW BOBROWSKI, HENRYK GRENIEWSKI, WACŁAW JASTRZĘBOWSKI, BOHDAN ŁĄCZKOWSKI, TADEUSZ ŁYCHOWSKI, STEFAN MEYER, JÓZEF PONIATOWSKI, KAZIMIERZ SOKOŁOWSKI, ZYGMUNT SZEMPLIŃSKI redaktor

ZESPÓŁ

PUNKT WYJŚCIA

Coraz wyraźniej, coraz powszechniej gruntuje się świadomość, że wysiłek, który współczesną Polskę oczekuje, nie polega bynajmniej, czy nie polega jedynie na poszukiwaniu lepszych, trafniejszych, wydajniejszych rozwiązań dla tych doraźnych zadań, które były przedmiotem naszych trosk codziennych.

Coraz jaśniej zdajemy sobie sprawę z tego, że rzeczywistość polska stawia nas wobec nowych, wielkich zadań, zadań, które dotychczas nie znalazły pełnego odbicia w problematyce naszego myślenia społeczno-gospodarczego.

Co więcej, sądzić wolno, że właśnie tylko na drodze wyraźnego przyjęcia określonych zadań za podstawowy, centralny punkt wyjścia, da się osiągnąć jednolity, nierozproszony, konsekwentny kierunek działania i rozwoju.

Jasnym jest też coraz bardziej, że próby ustalenia podstawowych zadań gospodarczych naszemu krajowi właściwych, zadań, z których wynikać powinna całość naszej polityki gospodarczej, są tylko jedną z postaci reakcji przeciw utartym szablonom myślenia, jedną z prób odnowienia poglądów i dostosowania ich do warunków „rzeczywistej" rzeczywistości polskiej.

Nie można nowych zadań, nowych problemów, rozwiązać na podstawie starych koncepcyj. Doktryny zbudowane jeszcze w XIX wieku i w nikłym tylko stopniu poddane w następstwie rewizji, programy oparte o te doktryny, dają w najlepszym razie ułamkowe ujęcia i wskazania. Niepodobna w nich odnaleźć nie tylko dróg i metod działania, nie ma w nich nawet dostatecznego odbicia pragnień, którymi żyją dziś masy w Polsce .

Olbrzymi postęp nauk ścisłych, wielkie zdobycze metodologiczne szeregu działów nauki, pozostają niezużytkowane dla pracy myślowej nad rozwiązywaniem zadań społeczno - gospodarczych, pracy wciąż jeszcze zamykającej się w starych formułach i metodach. Nowe wielkie — wojenne i powojenne — doświadczenia zbiorowości klasyfikowane są i etykietowane nie według ich rzeczywistej treści, lecz w przypadkowy sposób, zależny od haseł kiedyś przez dany kierunek wybrany. Tradycyjne przywiązanie do pewnych kierunków myślenia społecznego czy gospodarczego wiedzie do zamykania oczu na nowe fakty i nowe sytuacje, nieobjęte i nieprzewidziane przez dany kierunek. Tradycyjna nieufność do odmiennego kierunku myślenia, obawa nacjonalistów, zakrzepłych w pojmowaniu nacjonalizmu na modłę z okresu niewoli, iż akcentowanie momentów społecznych grozi roztopieniem się w międzynarodowości, obawa grup radykalnych, że nacisk na zagadnienie Narodu i Państwa grozi zlekceważeniem ideałów społecznych, nie pozwalają jednemu odłamowi uznać zdobyczy drugiego i naodwrót. Podobnie jak w stosunku do jednostek, tak i w odniesieniu do kierunków społeczno - politycznych staro - szlacheckie pytanie: „Kto go rodzi" zastępuję ocenę istotnej treści i wartości.

Nie tylko na kartach historii, ale nawet w żywej pamięci ludzkiej trwają te okresy, w których twórczość myślowa wyprzedzała na wielki dystans ludzkie

poczynania, tworząc czasami niedające się realizować utopie, ale często też rodząc doktryny płodne i skupiające wokół siebie masy. W dzisiejszej Polsce myśl społeczna i gospodarcza pozostała w tyle nie tylko za biegiem wypadków, ale nawet za podświadomemi dążeniami mas. Masom tym przeżyte, choć niegdyś świetne doktryny, usiłują powyznaczać role w myśl starych formułek i recept, marnując tę energię społeczną, którą zmobilizować można tylko na podkładzie myśli współczesnej, odpowiadającej warunkom czasu i miejsca, uwzględniającej bezmiar zmian, jakie przyniósł ostatni gorączkowy etap historii.

Zubożenie twórczości myślowej groźne jest nawet dla narodów, które dzięki szczęśliwemu przebiegowi historii, dzięki wysokości poziomu cywilizacji, dzięki sile i bogatej tradycji państwowej mogą wierzyć, że strata czasu, zwolnienie tempa ich rozwoju społecznego i gospodarczego, nie są równoznaczne z zepchnięciem w zakątek świata i historii. Polska, należąca do proletariatu narodów, znajdująca się w wyjątkowo trudnych warunkach geo-politycznych, obarczona wadliwą strukturą gospodarczą i demograficzną, stoi wobec dylematu: *bądź rozwój o żywiołowej szybkości, bądź unicestwienie.* Unicestwienie nie przez wypadki zewnętrzno-polityczne. Unicestwienie skutkiem załamania wewnątrz kraju wiary w jego zdolność do życia i rozwoju.

Przeszłość do podjęcia tych nowych wielkich zadań, których śpieszne wykonanie jest warunkiem dostatecznie szybkiego rozwoju, przygotowała nas niewystarczająco. Praca myślowa w Polsce w ciągu dziesiątków lat rzadko wychodząc poza krąg biernej obrony, siłą rzeczy skupiała się nie na zagadnieniu, jaką treść mamy nadać rzeczywistości polskiej, lecz na samym problemie uzyskania możności swobodnego stanowienia o swych losach. W ostatnim etapie historii nietylko obóz, skupiony wokół Józefa Piłsudskiego, ale nawet ci, którzy mienili się jego przeciwnikami, żyli w poczuciu, że zadanie przebudowy życia polskiego wziął na barki swe jeden człowiek. Dziś, w obliczu odpowiedzialności, która spadła na zbiorowość, probuje się odświeżać stare formuły, albo też zastąpić trud twórczego wysiłku improwizacją, nie na miarę zadań, które dziś, jutro i pojutrze rozwiązać trzeba. Zubożenie twórczości myślowej grozi niewykonaniem zadań, jakie przypadły w udziale dzisiejszemu pokoleniu. Żyjące dziś pokolenie, a zwłaszcza jego młodszy odłam, uczuciowo jest niemal dojrzałe do spełnienia swej ciężkiej, historycznej roli. W pracy myślowej natomiast jesteśmy w Polsce dopiero u progu, jesteśmy w najlepszym razie w okresie rewizji pojęć. Dlatego też stworzenie podstaw myślowych dla czynego wysiłku jest dziś zadaniem najpierwszem, najbliższem. Zadaniem niecierpiącem zwłoki, w przeciwnym razie bowiem rosnąca dynamika mas nie będzie się mogła przerodzić w trwałą pracę zbiorową, będzie się odcinkowo skupiała wokół haseł, wygasających same przez się.

Tworzenie nowych podstaw myślowych nie jest hasłem „bezhistoryczności", nie jest tendencją odgrodzenia się od dorobku dotychczasowego. Przeciwnie praca, która musi być dokonana, powinna wykorzystać obce i nasze, praktyczne i doktrynalne zdobycze. Nie jest to także hasło eklektyzmu, pomimo, iż każdą doktrynę silnie zrośniętą z potrzebami rzeczywistości, znamionować musi odwaga w zapożyczaniu elementów, trafnie ustalonych przez poprzednio dokonane prace. O wartości i nowości doktryny bynajmniej nie stanowi stopień krytycznego zapożyczenia elementów z istniejących poprzednio doktryn, lecz sposób przetworzenia tych elementów w nową całość. Tylko twórczy wysiłek, zrodzony z potrzeby znalezienia odpowiedzi na trawiące dzisiejszą Polskę pytania, może przetopić stare i nowe elementy myślowe w jednolitą hierarchię celów i ocen. Żywą jest ta doktryna, która jest odpowiednikiem woli, co już w społeczeństwie narosła, lub która może być w niem obudzona.

Ośrodkiem krystalizacyjnym woli społecznej, jej intelektualnym odpowiednikiem, jest określenie zadania, które w danym okresie czasu przed danem społeczeństwem staje. Zadanie to w dzisiejszej Polsce rysuje się z wielką jasnością i plastyką. Nie ulega przecież wątpliwości, że treścią najbliższego etapu historii musi być przyśpieszenie tempa rozwoju Polski i przebudowa rzeczywistości na modłę tych norm, które jeśli nie intelektualnie, to emocjonalnie w pełni wśród mas dojrzały lub dojrzewają. Każdy kierunek myśli społeczno-gospodarczej ma u swego podłoża zespół ocen i celów, które mogą być tak czy inaczej motywowane intelektualnie, ale które jednocześnie są wytworem wartościowania spontanicznego, są wyrazem woli, a nie tylko produktem analizy, wykwitają z podłoża emocji i ze spuścizny kulturalnej i historycznej. Szereg kierunków myślowych stara się ukryć swą aksjomatykę, a przede wszystkim zamaskować to, co w tej aksjomatyce jest elementem irracjonalnym, co jest wolą i uczuciem. Nie chcemy tej metody naśladować. Przeciwnie. Stwierdzamy, że punktem wyjścia, który przesądza nasze stanowisko, jest kilka tez, które uznalibyśmy za słuszne nawet wtedy, gdybyśmy nie umieli ich rozumowaniem potwierdzić. W tezach tych dopatrujemy się wyrazu woli nie tylko mniejszej lub większej liczby jednostek, ale widzimy w nich także odblask narastającej woli społecznej w Polsce. Tezy te, odpowiadające określonemu wyżej zadaniu dzisiejszej Polski, są proste.

Wierzymy, że Polska stanowi organizm zdolny do życia i szybkiego rozwoju społeczno - gospodarczego. Wierzymy, że rozwój ten jest równoznaczny z realizacją ładu społecznego, opartego o normy moralności społecznej, wyższego niż dzisiejsza rzędu. Wierzymy, że drogą ku tym celom nie może być spokojne, samorzutne narastanie wypadków, lecz świadomy, twórczy wysiłek.

Otwarte wskazanie powyższych, na emocjonalnym podłożu wyrosłych przesłanek, nie jest metodą fabrykowania taniej mitologii społecznej. Również powołanie się na to, że w naszkicowanych wyżej tezach dostrzec można ośrodek dla krystalizacji woli społecznej w Polsce, nie ma na celu zastępowania probierza słuszności, probierzem społeczno - politycznej użyteczności tych tez. Niezależnie od ładunku emocjonalnego każdy pogląd społeczny i gospodarczy musi być wykuty w pracy czysto intelektualnej, musi być poddany sprawdzeniu na podkładzie dorobku wiedzy.

Na tem właśnie, na poszukiwaniu systemu poglądów, zgodnych z emocjonalną aksjomatyką dzisiejszego społeczeństwa polskiego, dostosowanych do warunków rzeczywistości polskiej i nie pomijających odkryć dokonanych przez wiedzę współczesną, polega zadanie, które nazwaliśmy wyżej „tworzeniem nowych podstaw myślowych". Zadanie to realizowane być musi równolegle na szeregu odcinków myślenia, w szeregu dyscyplin wiedzy, nie może się jednak zamykać w czysto odcinkowych, „specowskich" rozważaniach. Podział zjawisk życia zbiorowego na problemy gospodarcze, społeczne, polityczne, podział na teorię czy ideologię z jednej, a praktyczną politykę społeczną lub gospodarczą z drugiej strony, to schematy niezbędne i użyteczne, ale operujące granicami o małej precyzji. Zamykanie się w jednej z umownych szufladek dać może dokładną analizę odcinka, ale nie jest drogą do ogólnej syntezy. Aby praca na odcinku zagadnień polityki gospodarczej — ta praca, która stanowi zadanie naszego pisma — mogła stanowić pewien wkład do tej ogólnej syntezy, musi ona być prowadzona ze świadomością, że istnieje ogólniejsze tło zagadnień polityczno - gospodarczych i że rozważanie tych zagadnień w sposób absolutnie oderwany od problematyki innego typu groziłoby roztopieniem się w doraźności, w skrajnym praktycyzmie.

CZESŁAW KOROLKO

KREDYT: ZMIANY I SKUTKI

Przy udzielaniu kredytu większą dziś rolę odgrywa zabezpieczenie rzeczowe, niż zaufanie do kredytobiorcy.

Wynika stąd szereg wtórnych niepożądanych konsekwencyj, które wymagają przeciwdziałania.

Stwierdzenie, że cechą charakterystyczną epoki kapitalistycznej jest olbrzymia rola kredytu, należy do truizmów, nie wymagających uzasadnienia. Toteż interesujące może być już tylko rozpracowywanie tej konstatacji, jak np. wskazywanie na rolę kredytu w procesie wahań koniunkturalnych, budowa koncepcyj, zmierzających do nadania odmiennej roli operacjom kredytowym, a przede wszystkim analiza zmian, jakie nastąpiły w systemie kredytowym. Niestety poza znakomitą pracą prof. H. Tennenbauma, poświęconą strukturze kredytowej gospodarstwa polskiego, bardzo niewiele fachowej i wnikliwej uwagi poświęcono temu ostatniemu zagadnieniu. Jeśli zmiany w dziedzinie organizacji, własności i dyspozycji przemysłowej znalazły szersze oświetlenie, jeśli ze zmian tych wyciąga się, a przynajmniej usiłuje się wyciągnąć wnioski polityczno-gospodarcze, to natomiast pomimo niespornych, choć mało zanalizowanych przemian w systemie kredytowym, rozumujemy z reguły tak, jak gdybyśmy mieli do czynienia z *dawniejszą* strukturą i mechaniką kredytu. Niedostateczne pogłębienie tych problemów przez czynnik ku temu powołany, a więc przez ekonomistów, specjalizujących się w zagadnieniach kredytowych, upoważnia, a nawet zobowiązuje ekonomistów, którym dana dziedzina nie jest bliżej znana, do śmiałego wkraczania w nią, zresztą ze świadomością, że łatwo tu o popełnienie błędu na tle braku znajomości techniki.

*
* *

Bodajże na czoło zmian, jakie w ostatnich kilku dziesiątkach lat dokonały się w metodach działania instytucyj kredytowych (polskich z pewnością, czy i w jakim stopniu zagranicznych?) jest przywiązywanie znacznie mniejszej wagi do ogólnej oceny wypłacalności danego kredytobiorcy, niż do konkretnego zabezpieczenia. Bezwątpienia jest to ujęcie nieco sumaryczne. Możnaby np. wskazać, że kredyt długoterminowy, zawsze uwarunkowany silnym zabezpieczeniem rzeczowym, jest dziś w niedorozwoju i że tem samem krótkoterminowy kredyt jest nadużywany do tych celów, do których normalnie służyły operacje długoterminowe. Skutkiem tego automatycznie niejako pożyczki będące w założeniu dostarczeniem środków na kapitał obrotowy, muszą pod względem zabezpieczenia nabierać charakteru właściwego ongiś operacjom długoterminowym.

Można też wskazać, że w okresie kryzysu kredyt o zabezpieczeniu rzeczowym rozwinął się nie kosztem

kupieckiego krótkoterminowego kredytu wekslowego, lecz był jedyną możliwą formą dostarczenia środków kredytobiorcom o jak najgorszej wypłacalności (kredyty zbożowe dla wielkiej własności). Jakkolwiek by było, fakt pozostaje faktem: bank udzielając pożyczki więcej dziś zważa na to, co pożyczkobiorca ma i na czem go można poszukiwać w razie niewypłacalności, niż na to, ile pożyczkobiorca dzięki uzyskanemu kredytowi będzie mógł zarobić, a tem samem ile będzie mógł spłacić. Oczywiście tendencja ta jest szczególnie silna w bankach państwowych, zaś dla rynku staje się tym bardziej wyczuwalna, im większy jest udział bankowości państwowej w całokształcie aparatu kredytowego. Jednak i w bankach prywatnych podobne kryteria przeważają, tak, że jedynym elastycznym dostawcą kredytu zabezpieczonego nie towarem, lub nieruchomością, lecz opartego na sprawności placówki, zaciągającej kredyt, oraz ocenie rynku — staje się lichwiarski dyskonter prywatny.

Gdybyśmy zapytali bankowca-praktyka, jakie jest źródło dokonanych przemian, odpowie poprostu, że wypłacalność jest tak zła, iż nie można inaczej. Jeśli zapytamy producentów, których zapotrzebowanie kredytowe nie zostało zaspokojone, przytoczą szereg faktów, kiedy odmówiono im kredytu pomimo pozytywnej oceny interesu, o którego sfinansowanie ubiegali się, jedynie z powodu niemożności dopełnienia wymogów formalnych. Eliminując nie tak rzadkie zresztą wypadki, kiedy istotnej przyczyny utrudnień kredytowych należałoby szukać w tendencjach deflacyjnych centralnej instytucji kredytowej, tendencjach maskowanych tylko temi lub innemi przyczynami formalnemi, zastanówmy się, czy istnieje jakaś głębsza i powszechniejsza racja do niższego dziś niż dawniej szacowania sperand rynkowych danego kretytobiorcy i opierania się przede wszystkim na elemencie zabezpieczenia rzeczowego.

Niewątpliwie przyczyna taka istnieje. Jest nią to, że w dzisiejszych powojennych warunkach istotnie znacznie mniej można ufać najbardziej nawet sumiennej i wnikliwej analizie zdolności kredytowej pożyczkobiorcy i ocenie perspektyw rozwoju danego przedsiębiorstwa, aniżeli w dawnych „dobrych, przedwojennych czasach". Składają się na to dwa znane momenty: ogólna niepewność i brak stabilizacji, znamionujące stosunki powojenne, oraz większa znacznie zależność jednostki gospodarującej nie od jej własnej sprawności, lecz od decyzyj, które z punktu widzenia tej jednostki mają charakter przypadku losowego, (choć w istocie są wynikiem dyspozycji państwa, potężnych zrzeszeń producentów i t. p.). Dodać należy, że pierwszy czynnik działa ze szczególną mocą w Polsce jako kraju, który nie odnalazł jeszcze swej strukturalnej równowagi, który proces strukturalnej przebudowy ma dopiero przed sobą.

Ocena interesu, który miałby być sfinansowany, dokonywana jest przez aktywność kredytową niejako przy założeniu „rebus sic stantibus". Ocena ta staje się iluzoryczna z chwilą kiedy wiadomem jest, że ogólne warunki rynkowe, względnie ogólna sytuacja danej branży mogą z łatwością ulegać zmianom, krzyżującym wszystkie przewidywania. Skoro tak, to zesztywnienia, zeschematyzowanie kredytu i zmniejszenie inicjatywy kredytowej instytucyj finansujących, musi być uznane w znacznej mierze za zjawisko trwałe, przynajmniej póty póki dalecy jesteśmy od pełnej stabilizacji. Tem bardziej więc nie wystarczy tu żałosne kiwanie głowami i wzdychanie do minionych lepszych czasów. Nie wystarczy tem bardziej, że fakt, o którym mowa, ma potężne wtórne konsekwencje.

Przy danej mechanice udzielania kredytu kto inny jest dobrym kredytobiorcą, niż przy mechanice odmiennej. Wiadomą jest rzeczą, że przy dawnej mechanice rozprowadzanie kredytów dla życia gospodarczego odbywało się za pośrednictwem kupca. Do produkcji kredyt przychodził poprzez obrót, bo sprawność placówki handlowej i wartość danej operacji finansowej przez bank, były wystarczającą podstawą kredytową. Z chwilą natomiast, kiedy kładzie się nacisk na zabezpieczenie rzeczowe, fala kredytowa płynie do życia gospodarczego w znacznej mierze z pominięciem aparatu dystrybucyjnego, docierając wprost do producenta. W tem sęk jednak, że nie do wszystkich producentów.

W wyścigu o kredyt obciążeni handicapem są ci wszyscy, którzy przy równych innych walorach przedstawiają gorsze zabezpieczenie rzeczowe. Upraszczając zagadnienie możnaby np. twierdzić, że przy danym systemie kredytowania wszystkie przemysły, których koszta stałe stanowią większy odsetek w stosunku do całości kosztów, będą miały przewagę nad innemi, bowiem w stosunku do obrotu dysponują one „lepszem" zabezpieczeniem w postaci większej ilości metrów sześciennych murów i tonn maszyn. W tem ujęciu wydaje się to naiwne jeśli nie śmieszne, lecz proszę sprawdzić, czy tak właśnie nie jest w praktyce. Bezwątpienia obecny system kredytowania pogarsza również warunki tych wszystkich dziedzin życia gospodarczego, które z tytułu rozproszkowania na drobne warsztaty muszą korzystać z pośrednictwa kredytowego kupca, aby dotrzeć do kredytu. Można (i są ku temu powody), narzekać na koszt kredytów, dostarczanych drobnym producentom rolnym i rzemieślniczym przez kupiectwo. Narzekania te są zwłaszcza słuszne dziś, kiedy samo kupiectwo nie korzysta z zaplecza w postaci taniego kredytu bankowego, lecz opiera się o własne siły lub o lichwę. Jakkolwiek by było jednak, z pewnością w wielu wypadkach lepszy jest nawet stosunkowo drogi kredyt (drogi w tym sensie, jak to rozumiano w czasach przedwojennych, kiedy kupiectwo dość wydatnie z pomocy banków korzystało) — aniżeli niemożność uzyskanie kredytu, związana np. z koniecznością gwałtownego wyrzucania produktów na rynek w momentach najgorszych cen, albo też z niemożnością uruchomienia produkcji, na którą jest zbyt, z racji trudności nabycia surowca przez rzemieślników, czy chałupników.

Przemiany, jakie dokonały się w metodzie udzielania kredytów, stały się zatym źródłem jednego jeszcze „przywileju wielkich". Zdajemy sobie dziś zupełnie dokładnie sprawę z tego, że przywileje te są nie tylko przykre społecznie, lecz również ujemne pod względem gospodarczym. Tylko wśród drobnych i średnich przedsiębiorstw wyrastać może typ przedsiębiorcy samodzielnego, pracującego z inicjatywą i ryzykiem. Przedsiębiorstwa drobne wykazują większą znacznie odporność na przeciwności warunków

gospodarczych, im również przypada niezastąpiona pionierska rola w tych działach konsumcji, gdzie rynek nasz nie rozrósł się jeszcze do rozmiarów niezbędnych dla masowej produkcji wielko-przemysłowej itd. itd. Słowem potrzeba bądź to usuwania przywilejów wielkich, bądź też przynajmniej świadomego przeciwdziałania, stoi dziś już poza sporem. Przywileje „wielkich” nie są, chwała Bogu, tak duże na ogół, by prowadzić do zniszczenia „małych”, wystarczają jednak na to, by niejednokrotnie „małych” skazywać na wegetację.

Skoro doszliśmy poprzednio do wniosku, że w dziedzinie kredytowej trudno myśleć o zmianie systemu, stanowiącego źródło przywileju wielkich, gdyż system ten zrodził się na tle zwiększenia w dzisiejszych warunkach gospodarczych ryzyka kredytowego, to tem samem myśleć musimy o drugiej drodze działania — o świadomem stworzeniu przeciwwagi.

W jaki sposób? Przede wszystkim nasilenie generalnej tendencji uciekania od zaufania osobistego do zabezpieczenia rzeczowego jest nie jednakowe we wszystkich ogniwach aparatu kredytowego. Najsilniejsze w bankach państwowych i wszystkich wielkich instytucjach kredytowych, słabnie ono w mniejszych bankach prywatnych, oraz w terenowych, lokalnych instytucjach, a przede wszystkim spółdzielniach kredytowych. Stąd też wnosić można, że decentralizacja kredytu, unikanie drenażu środków finansowych do centralnych instytucyj kredytowych, a nawet wręcz wyraźne uprzywilejowanie lokalnych instytucyj oszczędnościowych, będzie sprzyjało rozwojowi elastyczniejszego kredytu.

Nie wyczerpuje to oczywiście sprawy. Dla pełnego rozwiązania jej nie da się tu uniknąć pomocy czynnika publicznego, to znaczy Państwa. Bynajmniej zresztą nie w formie gwarancyj indywidualnych za kredytobiorców. Mamy tu zbyt wiele złych doświadczeń, a zresztą ta forma, jak wszelkie formy indywidualnej pomocy, dostępna jest właśnie jedynie dla wielkich. Raczej warto byłoby pomyśleć o ubezpieczeniu kredytów drobnych, ubezpieczeniu świadomie deficytowym, o deficycie, pokrywanym przez Państwo.

Obok tego na poszczególnych terenach wchodzić w grę może cały szereg specjalnych metod działania. Na terenie rzemiosła i drobnego kupiectwa bezwątpienia aktualna jest kwestia kas bezprocentowych, o której mówi się obecnie wiele (zresztą raczej na tle antysemityzmu, niż poważnego rozważania kwestii drobnych warsztatów). Trudno sądzić, aby operacje kas tego rodzaju mogły osiągnąć wielką skalę. Nierentowne obroty kredytowe nie mogą sięgać wysokich cyfr — bodziec zysku nie ginie przecież nawet w działalności, dyktowanej celami publicznemi. Natomiast należy pamiętać, że nawet nieznaczna porcja bardzo taniego kredytu daje wydatną obniżkę przeciętnej stopy kredytowej od ogółu kredytów zaciąganych przez dane drobne przedsiębiorstwo w kasie bezprocentowej i u dyskontera prywatnego. W tym ujęciu możnaby powiedzieć, że rola kas bezprocentowych polega na pokryciu przez Państwo części nadmiernych korzyści, ciągniętych przez dyskontera prywatnego. Strata Państwa na finansowaniu kas bezprocentowych byłaby więc niejako przejęciem na swój rachunek części obsługi zbyt drogiego kredytu prywatnego. W gruncie rzeczy nie jest to nic innego jak to, co widzimy w działalności kredytowej Państwa, obsługującej wielkie przedsiębiorstwa państwowe i prywatne. Działalność ta to przecież także rozprowadzanie kredytów uprzywilejowanych po niższej stopie od kształtującej się na wolnym rynku, to także w wyniku końcowym obciążanie gospodarki publicznej różnicą pomiędzy stopą, jaką Państwo uzyska, a jaką uzyskać by mogło, gdyby chciało równać się na stopę wolnego targu. Podkreślam tę analogię dla wskazania, że subwencyjny charakter finansowania kas bezprocentowych nie byłby bynajmniej bez precedensu, że przeciwnie, ten subwencyjny charakter jest bardzo mocno zaznaczony w całej akcji kredytów uprzywilejowanych.

Próbą doprowadzania kredytu tam, gdzie przy normalnych metodach kredytowania nie mógłby on dotrzeć, były kredyty celowe po ulgowej stopie, stosowane w rolnictwie. Doświadczenia z tymi kredytami są bez wątpienia ujemne. Przede wszystkim dla tego, że nawet w bardzo silnie związanej w pełnym tego słowa znaczeniu planowej gospodarce, nie sposób precyzyjnie oszacować zapotrzebowania kredytowego na poszczególne cele. To też skutkiem metody kredytów celowych musiało być bądź fałszowanie dyspozycji dysponenta, który akurat miał ochotę kupić ule, ale kupował buhaja, bo na to w danym momencie kredyty celowe były, bądź też znaczne podrożenie faktycznych kosztów kredytu wtedy, kiedy rolnik mając ochotę na dachówkę dostawał kredyt celowy na krycie dachu blachą i blachę ze stratą sprzedawał, by na swoim postawić i potrzebną mu dachówkę zakupić. Nie sposób więc myśleć o wznawianiu tej osławionej słusznie metody. Jak jednak można podejść do zagadnienia odrodzenia kredytu dla drobnego rolnictwa, poza omówionym już poprzednio zagadnieniem faworyzowania lokalnych instytucyj kredytowych? Stwierdzić należy, że olbrzymią część potrzeb kredytowych rolnictwa stanowi zapotrzebowanie na procesy inwestycyjne, wykraczające właściwie poza ramy jednego warsztatu. Czy to będzie mleczarnia spółdzielcza, czy maszyny dla spółki maszynowej, czy melioracja gruntu, wszystko to są działania, skupiające więcej niż jeden warsztat. W tych warunkach jest tym bardziej trudno wybrnąć z zagadnienia formalnych zabezpieczeń kredytowych. To też wydaje się, że jedynym męskim, logicznym i konsekwentnym postawieniem sprawy jest przejście do metod stosowanych ongiś przez komisję kolonizacyjną na terenie zaboru pruskiego, metod stosowanych po dziś dzień w Danii, a więc w kraju tylekroć zamożniejszym rolniczo. Mam tu na myśli wkroczenie na drogę dokonywania inwestycyj przez czynnik publiczny, Państwo lub Samorząd, z tym, że czynnik społeczny przejmuje gestię wytworzonych przez inwestycje placówek i stopniowo „wkupuje się” w nie — nabywa coraz większą ilość udziałów, odtwarzając tym samym możliwości kredytowo - inwestycyjne czynnika publicznego.

Możnaby zarzucić, że proponowane wyżej formy inwestowania kapitału na wsi nie są już wogóle kredytem. Formalnie biorąc często nim nie będą, natomiast gospodarczo niewątpliwie będzie to kredyt. Słowem sytuacja przedstawia się tu wręcz odwrotnie, niż np. przy finansowaniu przez Państwo inwestycyj przed-

siębiorstw państwowych. Formalnie bywa to kredyt. Gospodarczo z chwilą, kiedy kredytobiorca i kredytodawca są w gruncie rzeczy tą samą osobą prawną, jest to inwestowanie na własny rachunek. Niewątpliwie jednak przyznać należy, że istnieje pewna istotna, gospodarcza różnica pomiędzy kredytem w ścisłym znaczeniu a tym quasi - kredytem, o którym wyżej mowa. Polega ona na braku formalnego zabezpieczenia. Z punktu prywatno - gospodarczego celem jego jest uchylenie ryzyka kredytodawcy, uchronienie go od strat bez względu na to, jak pójdzie kredytowana impreza. Gospodarczo biorąc, istotną rolą zabezpieczenia wydaje się to, że w ten sposób kredytobiorca zmuszony zostaje do ostrożności w dyspozycjach, do zaciągania naprawdę tylko potrzebnego i rokującego rentowne zużycie kredytu. To też ów quasi - kredyt, pozbawiony formalnego zabezpieczenia, może i powinien być stosowany tylko wtedy, gdy istnieje potrzeba podniecenia inicjatywy „kredytobiorców" — a to właśnie ma miejsce w dziedzinie inwestycyj rolniczych, o których była mowa. Natomiast błędem byłoby twierdzić, że zaniechanie formalnego zabezpieczenia, ograniczenie się do nadziei, że zainwestowane przedsiębiorstwo będzie szło dobrze, a zatym zostanie wykupione, równa się przejęciu całości ryzyka przez Państwo. Tak przedstawia się sprawa z punktu widzenia jednej operacji quasi - kredytowej. Jeden spichrz zbożowy, czy jedna mleczarnia może okazać się imprezą błędną, natomiast w całości akcji, prowadzonej planowo, tylko pewien odsetek sum rozprowadzonych mogą stanowić pomyłki, i do tego odsetka ogranicza się rzeczywiste ryzyko Państwa.

W powyższych rozważaniach poruszyłem tylko jeden problem, wyłaniający się na tle zmian w metodach kredytowania, problem zaspokojenia potrzeb kredytowych drobnych warsztatów. Osobnego omówienia wymaga jeszcze sprawa wpływu, jaki usztywnienie kredytowania wywiera na całość życia gospodarczego, na przebieg procesów koniunkturalnych.

TADEUSZ ŁYCHOWSKI

NIE DEWALUOWAĆ

W obecnym stadium rozwoju wypadków nie ma dostatecznie ważkich obiektywnych przesłanek, które by uzasadniały konieczność dewaluacji.

Decyzja najważniejszych czynników w Państwie w obliczu wstrząsów walutowych, jakie nastąpiły ostatnio w Europie, poszła w kierunku zachowania w naszej polityce pieniężnej pełnego „status quo". Niemniej jednak niepokój walutowy w Polsce trwa nadal — i złudne byłoby zamykać na to oczy. Naszem skromnem zdaniem wynika to nie z niczego innego ale poprostu z tak normalnego w naszych warunkach „owczego pędu", powstałego w umysłach całego szeregu ludzi, którzy ostatnie zmiany walutowe w Europie zachodniej uznali za jakiś sui generis kataklizm, przed którym nic właściwie nie może się oprzeć. Mamy zamiar w poniższych uwagach dowieść mylności tego rodzaju rozumowania.

Przede wszystkim — kilka uwag wstępnych. Wiemy, że od 1931 roku szereg krajów bądź obniżyło kurs swej waluty, bądź wprost „odeszło od złota", co wywołało również odpowiednią zniżkę kursową. Ale wiemy też, że każdy z nich uczynił to dla jakiegoś *swojego* celu, a nie jako spełnienie jakiejś powszechnej kryzysowej recepty. Anglia dewaluowała dla ochrony swego bilansu płatniczego, Stany Zjednoczone — dla zwyżki cen wewnętrznych, Francja wreszcie — naskutek polityki gospodarczej poprowadzonej od kilku miesięcy przez rząd Frontu Ludowego. Kraje skandynawskie natomiast dewaluowały *dlatego,* że dewaluowała Anglia, z której rynkiem są one w bardzo silnym stopniu związane. Belgia dewaluowała dlatego, że wahnięcie się funta w marcu 1935 r. było już więcej niż handel zagraniczny — owa ostoja gospodarstwa belgijskiego — mógł znieść. Szwajcaria i Holandia dewaluowały *dlatego,* że dewaluowała Francja, a nie chciały obie wprowadzać gospodarki dewizowej. Gdyby zatem być powierzchownym i zawierzyć tylko logice dialektycznej, to trzebaby przypisać naszym zwolennikom dewaluacji rozumowanie, streszczając się w formule: ponieważ panu Blumowi i jego rządowi zachciało się prowadzić we Francji nakręcanie koniuktury w sposób szybki i niebardzo ostrożny, to z tego wynika... że Polska powinna dewaluować, chociaż w przeciwieństwie do Szwajcarii i Holandii posiada ograniczenia dewizowe, które ją przed wstrząsami chronią. Oczywiście — jest to absurd, ale z gatunku tych, które wynikają, jeśli obedrze się dość skomplikowane dowodzenie z tego wszystkiego, co w niem jest doprawdy nieistotne a zostawi się tylko właściwie sam szkielet syllogizmu...

Wynika z tego, cośmy powiedzieli powyżej, iż Polska, aby dewaluować, musiałaby mieć jakiś *wyraźny interes* w tym posunięciu. Wiadomo, iż dewaluacja jest *zawsze nieomal* niekorzystna dla każdego gospodarstwa narodowego. W Polsce uważamy te niekorzyści za silniejsze jeszcze niż gdzieindziej. Aby uniknąć niedomówień podkreślimy tylko dwa najważniejsze powody, dla których dewaluacja jest w Polsce szczególnie groźna. Najprzód: bo zwiększa rozpiętości w podziale dochodu społecznego, rozpiętości, które w Polsce (jak to staraliśmy się już przy innych okazjach wyjaśniać) są *szczególnie* wielkie a naskutek skurczenia się dochodu tego, dotkliwsze niż normalnie. Powtóre: że byłaby to dewaluacja *wtór-*

na, która zrujnowałaby zaufanie do złotego w społeczeństwie na długi okres czasu, a przez to podkopała tę kapitalizację wewnętrzną, na której — wobec ograniczonych widoków importu kapitałów z zagranicy nawet w okresie najwyższej koniunktury — Polsce winno zależeć bardzo silnie. Te i inne jeszcze względy (że wymienimy chociażby sprawę równowagi budżetowej...) nazywać będziemy w dalszych naszych uwagach „względami wewnętrznymi".

Jeśli więc Polska miałaby dewaluować, to trzeba by było, aby względy inne — nazwijmy je np. „zewnętrznymi" — były *tak wielkie*, że przeważyłyby z nadmiarem „względy wewnętrzne". Powiadają nam: jest taki wzgląd. Nazywa się — wywóz.

*

* *

Polska przeżywa okres budzącej się koniunktury. Przywóz wzrasta i sięga już nieomal wartości stu milionów zł. miesięcznie. Wywóz nie wzrastał dotychczas w tym tempie, a ostatnie wstrząsy walutowe mogą nawet odbić się na nim niekorzystnie. We wrześniu mamy już przeszło 7 milionów zł. ujemnego bilansu handlowego. Saldo to może wzrosnąć, i to wzrosnąć bardzo poważnie. Stąd — obniżenie wartości złotego podeprze gmach naszego eksportu.

Nie chcemy mówić już o t. zw. klasycznych argumentach, wskazujących, że i samo jądro tego rozumowania nie jest bez „ale" (wzrost kosztów surowców zagranicznych w zdewaluowanych złotych, który odbije się na wzroście cen wywozowych, dalej — konieczność podwyżek płac itd. itd.). Pomówimy o całokształcie zagadnienia od zewnątrz.

Polska w okresie kryzysu, prowadząc taką politykę jak prowadziła, musiała liczyć się z tym, iż prędzej czy później popadnie w kłopoty ze swym bilansem handlowym. Leżało to w *istocie* samej polityki deflacyjnej, która w tym, co się tyczy ograniczenia przywozu, musi mieć przecież zawsze swój kres. Chodziło tylko o to, aby kłopoty te przyszły w Polsce *możliwie późno* — wówczas, gdy będzie nadzieja na szybkie ich zlikwidowanie przez powracającą koniunkturę światową. Musiał przyjść kiedyś taki moment, w którym wywóz nasz począł stawać się za drogi (licząc w złocie), a przywóz z zagranicy nęcony stosunkowo wysokimi (również w złocie) cenami na naszym rynku. Ograniczenia dewizowe miały na celu „przetrzymać" ten okres przejściowy, skoro okazało się, iż wypadł on wtedy, gdy jeszcze międzynarodowy obieg kapitałów nie wznowił się albo wznowił się w zupełnie minimalnym stopniu. Mogliśmy tego okresu uniknąć, ale poto trzeba było *odrazu* poprowadzić politykę nie deflacyjną a dewaluacyjną. Odrazu — t. j. razem ze skandynawami bezpośrednio po spadku funta angielskiego we wrześniu 1931 r. Wówczas rozumowanie wyglądałoby, mniejwięcej, tak: „w obliczu spadających na łeb na szyję cen światowych, które prorokują długą depresję, nie chcemy kurczyć naszej działalności gospodarczej polityką deflacyjną i poświęcamy na ołtarzu tej wygody złotego". Osobiście autor niniejszych uwag przeciwny byłby tego rodzaju stawianiu sprawy, ale musi przyznać, że zasada każdego posunięcia w polityce gospodarczej, streszczająca się w formule: muszę coś stracić, aby to czy tamto zyskać — byłaby w tym wypadku zachowana. Bądź co bądź, uniknęlibyśmy pięciu lat *takiego* kryzysu — i wszystkich jego gospodarczych czy społecznych czy politycznych skutków...

Tak więc, jeśli nie powiedziano tego w 1931 r., trzeba było sobie powiedzieć, iż moment parcia na nasz bilans płatniczy przyjdzie — i że trzeba go będzie przebyć. W jaki sposób? Oczywiście — forsując sztucznie wywóz. Co to oznacza gospodarczo? Obciążanie ludności obowiązkiem zwiększonych świadczeń podatkowych na premie eksportowe zamiast odebrania jej części majątku czy dochodów w postaci dewaluacji. I tu i tam trzeba było stracić — ale chodziło o to, aby strata ta miała możliwie mało niekorzystnych skutków strukturalnych, o których wspominaliśmy na wstępie („względy wewnętrzne").

Co się w tym położeniu zmieniło po ostatnich dewaluacjach? Tyle — że trzy kraje, stanowiące w sumie 10% naszego ogólnego wywozu, stały się *gorszymi* rynkami zbytu niż dotychczas. Jest jeszcze wielkim pytaniem, *o ile gorszymi*, bo dokładniejsza analiza, o której — oczywiście — na tym miejscu mówić nie będziemy, wykazuje trudności ale bynajmniej nie wykazuje katastrofy. Tyle — co do rynku francuskiego, szwajcarskiego i holenderskiego. Dewaluacja włoska będzie miała tylko ten skutek, że clearing zawarty ostatnio z tym krajem zacznie normalnie funkcjonować, czego nie byłoby przy nienaturalnie wydętym w górę poziomie cen powojennych we Włoszech. Dewaluacja czechosłowacka nie stwarza dotychczas żadnych specjalnych nowych trudności. Krótko mówiąc, trudności, które istniały dotychczas, zwiększyły się. Żadnej katastrofy, żadnego wstrząsu — nie ma.

Natomiast, jak powiadamy, pozostaje nadal ciężka praca nad utrzymaniem równowagi naszego bilansu płatniczego w obliczu tych wysoce niekorzystnych warunków: zwiększanie się przywozu i trudności wywozowych. Dlaczego by nie machnąć na to wszystko ręką i nie uwolnić się od tych trosk jednym zamachem przez dewalucję złotego?

Dlatego, że nie mamy już tych samych elementów decyzji, co na jesieni 1931 r. Dla „względów wewnętrznych" wymęczyliśmy się *już* pięć lat. A pozatem wówczas ceny światowe spadły — a obecnie *idą w górę*. Przychodzi okres, na któryśmy czekali przez cały kryzys. I właśnie w tym momencie, kiedy „przepłynęliśmy przez morze" z takim trudem, mamy „utonąć przy brzegu"? Albo raczej świadomie — „utopić się".

Ceny światowe idą w górę. Niemiecki urząd statystyczny, obliczający wskaźniki cen światowych w złocie na podstawie cen w trzynastu głównych grupach towarowych, stwierdza, iż od najniższej rocznej przeciętnej światowego poziomu cen w 1934 r. wzrosły one do 1935 r. o 2% ale do l pca r. b. — o 10%. To daje miarę szybkości wzrostu w pierwszej połowie r. b. Nasz poziom cen do sierpnia r. b. nie wzrastał albo raczej wzrastał minimalnie. Od najniższej rocznej przeciętnej ich w 1935 r. wskaźnik sierpniowy różni się in plus... o przeszło 1%. Różnica jest wi-

doczna. Mamy wszelkie dane, że po wstrząsie, wywołanym w stosunkach międzynarodowych przez ostatnie dewaluacje, ceny światowe zaczną wzrastać szybciej niż dotąd. Niewątpliwie zresztą będzie następował z konieczności i wzrost naszych cen. Chodzi o to, aby był jak najwolniejszy. Wówczas musi przyjść moment, kiedy ceny światowe „dogonią" nasz poziom cen. I wówczas wejdziemy w ożywienie gospodarstwa światowego z nienaruszonym złotym. Ofiary złożone w okresie ostatnich sześciu lat wtedy przynajmniej się opłacą.

Albowiem *w tej chwili* nie ma, jak powiadamy, ani jednego *decydującego* „względu zewnętrznego", dla którego by należało uznać się za pokonanych — dewaluować w 1936 roku po poniesieniu wszystkich ofiar w okresie 1931 — 1936 r. Taki wzgląd mógłby nastąpić dopiero wówczas, gdyby — wbrew przewidywaniom — okazało się, że nasze ceny wzrastają *szybciej* od cen światowych, że rozpiętość pomiędzy obu poziomami wzrasta a nie (jak dotąd) maleje, że zatem owego szczęśliwego zrównania się poziomów oczekiwać nie można i trzeba uznać przegraną....

*

* *

Mówi się w tej chwili jeszcze u nas bardzo wiele, iż, zamykając się nadal w obręczy ograniczeń dewizowych, tracimy sposobność „wejścia do odradzających się obrotów" międzynarodowych. Że nie skorzystamy przez to odrazu z nowej światowej koniunktury.

Słusznie — prawdziwa wielka koniunktura w Polsce musi z konieczności przyjść dopiero po rozwinięciu się koniunktury na zachodzie Europy i w Stanach Zjednoczonych. Taka jest logika rzeczy — i taki jest nasz los, los kraju ubogiego i dłużniczego. W tej chwili żyjemy tylko odpryskami koniunktury zagranicznej, które stwarzają u nas pewne ożywienie, ożywienie pocieszające, ale które — rzecz prosta — nie może porównać się z tym, które nastąpi, kiedy odrodzona koniunktura światowa „wyniesie nas" do góry, jak to powinna uczynić i jak to niewątpliwie uczyni. Ale trzeba wyjaśnić, iż *w tym punkcie* dewaluacja nic by u nas zmienić nie mogła. Odpadłyby trudności w eksporcie — ale, nie łudźmy się, nie wygospodarowalibyśmy tak prędko nadwyżki wywozowej, która by pozwoliła nam zasilić dewizami naszą rosnącą koniunkturę. Zagadnienie rozluźnienia reglamentacji dewizowej i towarowej jest *czemś innem* od zagadnienia dewaluacji. Istnieje pomiędzy niemi pewien związek, ale jego napięcie wahać się może w czasie w zależności od okoliczności w bardzo wielkim wachlarzu...

Powtarzamy raz jeszcze: dewaluacja jest *zawsze złem*. W wyjątkowych wypadkach dokonywa się jej niejako w postaci ofiary składanej na ołtarzu jakichś innych *wyższych* celów polityczno - gospodarczych (i to zawsze niemal raczej politycznych niż gospodarczych...). Rewolty fermerskie w Stanach w 1933 roku i nastroje rewolucyjne we Francji 1936 r. są tego dobitnym dowodem. Ale — im większym złem w warunkach danego organizmu gospodarczego jest amputacja pieniądza, tem większymi muszą być względy przeciwne, dla których się na nią decyduje. W Polsce *takich* względów w tej chwili brak. I takie właśnie znaczenie ma, jak sądzimy, uchwała najwyższych czynników w Państwie. Niewątpliwie rozważano wszystkie „pro" i „contra" operacji. Niewątpliwie zdawano sobie sprawę, że trzeba będzie, być może, chwycić się nowych środków dla podmurowywania w tym okresie przejściowym równowagi bilansu płatniczego, że okres walki bynajmniej dla nas nie jest skończony (jak — zapewne — nie jest skończony jeszcze wogóle i w stosunkach międzynarodowych, gdzie dewaluacja franka nie wydaje się dotychczas jeszcze faktem zamykającym metakryzys). Ale jednocześnie stwierdzono widocznie, iż przy obecnych szansach wygrania niewolno poddawać się z góry. I powiedziano słusznie: nie dewaluować.

UWAGI

UŚMIERCENIE

Amortyzacja — to uśmiercenie wartości. Wartość nie jest wieczną. Chyba wartości duchowe w innym świecie mogą do wieczności pretendować. Wśród nas śmiertelnych, wartości duchowe trwają jedynie tak długo, jak długo znajdują oddźwięk w psychice ludzkiej lub stanowią podłoże dla dalszej twórczości duchowej. „Nieśmiertelni" poeci i pisarze przeżywają się tak prędko jak Koźmian, Osiński lub Sterling. A „wartość" Ajschylosa, czy „Pieśni nad Pieśniami" zostaje ocenioną jedynie na bardzo ograniczonym rynku.

Jeszcze mniej trwałą jest wartość dóbr materialnych. Zarówno dóbr realnych, jak i kredytowych. Grosz oddany na procent składany na przełomie pierwszych wieków urósłby, zdaniem biegłych w arytmetyce, do wartości 4-ch kul ze złota, każda o masie równej masie ziemi. Nie sprawdzałem rachunku, ale wiemy z doświadczenia, że nikt nie może się takim zapasem odziedziczonych w kontokurencie wartości poszczycić. Dlaczego? Albowiem równowartość tego wkładu w aktywach bankiera nie rosła w sposób pewny i równy. Pomijając straty wynikłe z niesolidności dłużnika, wzgl. bankiera, odpokutowane przez Cervantesa, przyczyna strat wartości kredytowych leży w uśmiercaniu wartości realnych. Domy starzeją się i rozpadają w gruzy. Urządzenia produkcyjne niszczeją. Zapasy kopalin czy innych bogactw naturalnych wyczerpują się, a ziemia może wyjałowieć doszczętnie, jak choćby najżyźniejsza w początku XIX wieku prowincja Norwegii Jaderen, która obecnie jest zupełnie jałową, lub znacznie bardziej znany przykład nowopowstałej pustyni w U. S. A. za górami Skalistemi.

Żyzne pola Babilonii, gdzie za panowania Kserksesa I dom bankowy Muraszsu Synowie z Nippur lokował swe kapitały w instalacje irygacyjne, warte były już za partów niewiele więcej aniżeli otaczające tereny. Przechodząc od czasów Achemenidów do współczesnej rzeczywistej polskiej rzeczywistości, możemy na każdym bodaj kroku stwierdzić „Śmierć kapitału". Kapitał zamiera w błędnych inwestycjach, jak linia kolejowa Warszawa — Rawa. Zamiera w stokach niesprzedażnych towarów, w wydatkach konsumcyjnych ponad miarę globalnego dochodu społecznego. Kapitał wierzyciela umiera tam, gdzie w bilansie w pasywach jest dług, a w aktywach strata.

Zapobiegliwy i skrzętny kupiec, pojęcie pokrewne homini oeconomici, stworzył pewne zabezpieczenie. Stwierdził już dawno, że kapitał zainwestowany wart jest 100% cały czas, dopóki inwestycja nie przestaje być rentowną, a później z dnia na dzień może przestać pracować i stać się bezwartościową; kapitał ten staje się wówczas równy zeru. Odkładał więc z zysków na fundusz odnowienia. Fundusz odnowienia jest jednym z przykładów rezerw celowych. Rezerwy celowe (Rückstellungen) są to odpisy z zysków, przeznaczone na pewne konieczne wydatki, płatne w okresach późniejszych, których przyczyny jednak tkwią w okresie sprawozdawczym lub wcześniejszych. W pierwszym rzędzie należą tu rezerwy na odszkodowania właścicieli powierzchni za straty powstałe wskutek odbudowy kopalń. Rezerwy na odkupienie praw górniczych na innym terenie po wyczerpaniu obecnie eksploatowanych. Rezerwy na emerytury obecnie czynnych pracowników. Rezerwy na przyszłe zarybienie ewent. zatrutych przez ścieki rzek, ewent. zatrutych przez gazy fabryczne sadów. W dziedzinie handlowej rezerwy na straty z tytułu delcredere, rezerwy na straty z tytułu reklamacji i zwrotu towarów produkowanych obecnie, dostarczanych zaś później. Wahania czynszów w okolicach Palais Royal w Paryżu w ciągu XIX wieku wskazują na to, że wartość dobrze utrzymanych nieruchomości może maleć wskutek działania mody, „punktu" handlowego, koniunktury i t. p. niezależnych od starań właściciela. Słuszne jest odpisywanie rocznych rezerw na pokrycie zmiany tej wartości, tak samo jak spółki holdingowe powinny tworzyć rezerwy na spisanie strat na wartości papierów. Rezerwy te w belgijskich bilansach zwane są „amortyzacją portfelu". Dla fabrykantów maszyn takiemi rezerwami celowemi są odpisy na odszkodowanie odbiorców za możliwe niedotrzymanie przez maszyny gwarantowanych cyfr produkcji. Banki powinny tworzyć rezerwy na straty z tytułu udzielonych gwarancji, o ile są płatne w pieniądzach, a nie jak gwarancja Antonia, w funcie ciała. Wszyscy zaś odpisują rezerwy na odnowienie zużytych instalacji. Te ostatnie nazywamy uśmierceniem — amortyzacją i nadajemy im specjalne przywileje.

Ta właśnie i jedynie ta postać rezerw celowych zostaje w Polsce potrącona z podstaw opodatkowania podatkiem dochodowym. Nie zawsze, nie bez ograniczeń. Nie dla wszystkich płatników. Ale jedynie ta rezerwa może być potrącona, która przedstawia określoną część wydatków poniesionych na zakup, sprowadzenie, montaż i uruchomienie urządzeń fabrykacyjnych, budynków i ruchomości. Nie jest to więc przywilej dla rezerwy na cele odbudowy, na cele przyszłych inwestycji. Jest to przywilej będący dzieckiem matki rutyny buchalteryjnej i ojca, nieprzemyślanej ustawy. A może dziecko to miało 2 matki, a ojciec był nieznany? Nieznani sprawcy i nieznani żołnierze odgrywają rolę Fatum. A wobec Fatum bezsilni są bogowie, choć śmiertelni, jak syn Jokasty, nieraz starali się stawiać mu czoło. To też nic dziwnego, że „życie gospodarcze", pomne na pierwszą z cnót głównych, w pokorze znosi wszelkie dowolności polskiej ustawy o podatku dochodowym.

Nie podzielam tego defetyzmu. Ustawa, pisana przez ludzi dla ludzi, musi być ludzką, musi nie razić naszego poczucia słuszności, powszechności i równości i mieć zastosowalność analogiczną w analogicznych wypadkach. Powinna ona umożliwiać i ułatwiać wszelkie odpisy renowacyjne, których dane przedsiębiorstwo, zależnie od swych charakterystycznych właściwości, może wymagać lub potrzebować.

Dwie drogi stoją tu przed nami. Jedną jest gruntowna przebudowa podatku i taka zmiana jego ujęcia, aby zagadnienie odpisów upadło samo przez się —

aby stało się bezprzedmiotowem. Druga: to droga łatań i dobudówek, prowizorium i nowel ustawowych, która by pojęcie amortyzacji portącalnej rozszerzyła na wszystkie lub główne rezerwy celowe.

Jeżeli np. przedsiębiorca swe maszyny ubezpiecza od ognia w przedsiębiorstwie branży asekuracyjnej, to premia roczna, jako koszt efektywnie poniesiony, może być potrącona z dochodu brutto. Jeżeli natomiast ubezpiecza we własnym zarządzie i odnośne sumy wpisuje na oddzielne konto „rezerwy na straty ogniowe", to te odpisy, nawet w wysokości tej samej co zeszłoroczne premie ubezieczeniowe, nie mogą być potrącone z dochodu brutto. Dlaczego? Bo ustawodawca znał z rutyny buchalteryjnej pojęcie amortyzacji budynków i maszyn, ale nie znał pojęcie autoasekuracji. Otóż jak od papieża gorzej informowanego można było w średniowieczu apelować do papieża lepiej informowanego, tak w nowem średniowieczu od prawodawcy mniej oświeconego możemy apelować do bardziej oświeconego.

Nie ma wartości wiecznych. — Nie ma też wiecznych ustaw. Rzeczą temperamentu narodowego jest metoda ich zmian. Od metody zależy skuteczność.

Nie jestem zwolennikiem metody drugiej. Nie chciałbym łatania naszych ustaw dobudówkami. Ale lepsza naprawa tego co jest od błędów powtarzanych co roku. Więc albo należy z podstaw opodatkowania wyłączyć wszelkie rezerwy celowe, to jest amortyzować ratami przewidywanych, zawsze tylko przybliżonych ułamków wszelkie aktywa obecne i przewidywane wydatki przyszłe: prawa nabyte, badania naukowe, możliwe dewaluacje portfelu walorów, albo też wydatki na „poprawienie źródła dochodu" powinny być narówni z innymi uważane za wydatek tout court i nie dopisywane do aktywów a spisywane przez koszty. Jak równość — to równość.

Ci, co ustawę o podatku dochodowym rozpatrują jedynie z fiskalnego a nie z gospodarczego stanowiska, niechętnie przyjęliby którąkolwiek z tych dwóch alternatyw.

Może więc jednak nie łatanie, a gruntowna przebudowa?

Stefan Meyer.

CYNICZNA PRAWDA

W powodzi artykułów na temat reformy rolnej strona gospodarcza akcji parcelacyjnej zarówno przez jej zwolenników, jak i przeciwników wysuwana jest na plan pierwszy. Poziom dyskusji jest zazwyczaj dość niski, czemu zresztą trudno się dziwić z uwagi na wciąż niedostateczną objektywną znajomość struktury rolnictwa i zmian, jakie w niej zaszły w ciągu ostatnich kilkunastu lat. Do rzędu argumentów wesołych zaliczyć przede wszystkim wypada następujące tezy: parcelacji przeprowadzać nie warto, bo 1) w ten sposób przeludnienia wiejskiego usunąć się nie da, 2) dotychczasowa parcelacja była przeprowadzona źle, 3) trzeba się oprzeć na silnych gospodarczo, średnich gospodarstwach chłopskich (ukłon na zachód), 4) grozi ona obniżeniem, katastrofalnym obniżeniem kultury rolnej, 5) w razie wojny czeka nas wygłodzenie. W obawie nadużycia wrodzonego poczucia humoru czytelników przerwać wypada to wyliczenie. Smutne jest tylko, że podobną argumentacją posługują się nie tylko publicyści z bożej łaski, ale i oświecone sfery rolnicze. Nie będziemy w tej chwili dyskutować na powyższe tematy, w przekonaniu, że nie w płaszczyźnie takich argumentów gospodarczych rozstrzygać wypadnie o konieczności akcji parcelacyjnej. Sprawa bowiem jest znacznie poważniejsza. Parcelacja jako część strukturalnej przebudowy wsi, a więc i całego gospodarstwa polskiego, posiada nieporównanie większą wagę, niż to się często zdawać może: nie chodzi tu o jakieś szybkie i ułatwione załatwienie jednego fragmentu, przeciwnie zdawać sobie trzeba sprawę z całego kompleksu olbrzymich trudności związanych z oparciem się na możliwie małym, samowystarczalnym gospodarstwie chłopskim. A to jest jedyne wyjście, jakie nam dyktuje podstawowy fakt przeludnienia rolniczego, a więc nadmiaru pracy i braku kapitału. Można mieć nadzieję, że zrozumienie potrzeby daleko idących reform agrarnych ugruntuje się już wkrótce w świadomości powszechnej pomimo i wbrew tym wątpliwościom i argumentom o znaczeniu akcesoryjnym. Gdyby nawet przemawiały one w tej chwili na niekorzyść akcji parcelacyjnej, to jeszcze nie dowód, żeby jej dlatego zaniechać; są to trudności związane z obecnym stanem rzeczy, które w przyszłości rozwiązane i pokonane być muszą.

W naszem jednak przekonaniu opieranie się wyłącznie na przesłankach gospodarczych jest nie tylko niewystarczające, ale i szkodliwe; zagadnienie bowiem wykracza poza te ramy i ma zasięg szerszy. Chodzi tu o silne zaakcentowanie znaczenia społecznego reform agrarnych, na które to znaczenie dotychczas stosunkowo mało zwraca się uwagi. Posiada ono zresztą dwa oblicza, dwie wartości. Wartość pozytywną stanowi spełnienie elementarnego obowiązku sprawiedliwości społecznej w stosunku do masy włościańskiej, obowiązku, który warunkuje wciągnięcie jej w orbitę spraw publicznych. Bez jego spełnienia, bez jednoczesnej poprawy materialnego położenia wsi nie wyjdziemy z zamkniętego kręgu własnego załamania. Inne natomiast, ale niemniej ważne są wartości negatywne, jakie niesie przebudowa ustroju agrarnego. Jeśli to jest prawdą, że trudny okres lat nadchodzących musi się stać okresem gruntownej przebudowy naszej kultury i odrodzenia wewnętrznego, a jest ono warunkiem naszego życia, to zmiana typu psychicznego Polaka, cały problem nowego człowieka, nie da się rozstrzygnąć bez głębokich zmian w ocenach wartości. Dotychczas jeszcze żyjemy pozostałościami kultury magnacko-szlacheckiej, związanej ze wsią i rolnictwem. Tem się do niedawna tłomaczyło ubóstwo pierwiastków abstrakcyjnych i teoretycznych w całości dorobku kulturalnego, brak wielkich starć umysłowych i religijnych, nastawienie praktyczne życia umysłowego. *Charakter wegetatywny* polskiego poglądu na świat, pogłębiony został w okresie utraty niepodległości państwowej wiarą w cnotę „przetrwania" (stąd wyolbrzymiona wartość rodziny), w konieczność „obrony", w słuszność „świętej zgody" i pewnością, że „całość sama się złoży". Przyczyn ostatecznego załamania się dodatnich wartości w kulturze polskiej szukać należy w wąskiej podstawie jej oddziaływania (bierność mas) i daleko posuniętej atomizacji społeczeństwa (brak promienio-

wania miast). Jeśli obecnie podstawowym warunkiem głębszych przemian kulturalnych staje się *konieczność zmiany warstw*, to wówczas możliwie szybkie starcie klasy ziemiańsko - szlacheckiej z powierzchni polskiego życia społecznego wyda się nieuniknioną koniecznością i wartością samą w sobie. Klasa ta do dziś dnia jest rozsadnikiem tych elementów psychicznych, których usunięcie warunkuje każdą nową twórczość, elementów, które w najbliższej przyszłości staną się czynnikiem hamującym. Pod tym kątem widzenia historyczną ocenę roli szlachty postawić nawet trzeba na drugim planie. Należy sobie jasno zdać sprawę w jakim punkcie ewolucji społecznej w tej chwili się znajdujemy; przypuszczać można, że jest to okres, który Anglia przebyła sto lat temu, okres przesuwania punktu ciężkości ze wsi do miast. Proces ten jest pożądany i nieunikniony, a przyśpieszać go będą dalsze postępy uprzemysłowienia i urbanizacji. Zabawne są próby odzyskania utraconego terenu przez naszą klasę ziemiańską na drodze stwarzania pozorów jednolitego frontu rolniczego i prób szlusowania do „agraryzmu". Bieg wypadków niczego jej nie nauczył.

J. Galsworthy w „The Country House" tak charakteryzuje klasę ziemiańską we wspomnianym okresie: „wierzę w mojego ojca, i w jego ojca, i w ojca jego ojca, którzy stworzyli i zachowali mój majątek ziemski. Wierzę w siebie samego, i w mojego syna, i w syna mojego syna. I wierzę, że myśmy stworzyli Anglię, i my ją zachowamy tym, czym jest. I wierzę w ludzi mojego stanu, i w dwór wiejski, i we wszystkie rzeczy takie, jakie są na wieki wieków, amen".

r.

SŁABE RĘCE Z CENZUSEM

Rzemieślniczy dowód uzdolnienia stale fascynuje kupiectwo. Raz po raz pojawiają się głosy, żądające wprowadzenia określonego minimum wiedzy kupieckiej, jako sprawdzianu, że dany kandydat na kupca posiada odpowiedni start do... zysku. Minimum, o którym mowa, sprowadzałoby się do wykazania przed komisją egzaminacyjną, że amator samodzielności handlowej tajniki sztuki kupowania i sprzedawania posiadł tak w drodze praktyki u innego kupca, jak i z książek czy podręczników.

Pomiędzy rzemiosłem a kupiectwem zachodzi — jeśli mówimy o dowodzie uzdolnienia — cały szereg zasadniczych różnic. Po pierwsze rzemiosło, tkwiące — przynajmniej pojęciowo („tradycja") — w epoce średniowiecza, kontynuuje zwyczaje i formy, zaszczepione przed dobrymi kilkoma wiekami; motyw ciągłości i konserwatyzmu łacniej tłumaczy nieruchliwego rzemieślnika, aniżeli rzutkiego kupca, dla którego karta kupiecka (na wzór karty rzemieślniczej) byłaby czymś nowym, zgoła niespotykanym. Były już wszakże próby naśladowania przez handel odrębnej struktury rzemiosła, próby te jednak nie dały rezultatu. W b. Galicji można było — na podstawie ustawy z 1896 r. — wprowadzić dowód uzdolnienia dla niektórych kategorii handlu detalicznego, czego zaniechano, gdyż — jak mówi Buzek [1]) — miał tam wówczas miejsce „proces tworzenia się chrześcijańskiego stanu kupieckiego, a proces ten zostałby przez wprowadzenie dowodu uzdolnienia znacznie wstrzymany".

Po wtóre — rzemiosło daje się podzielić na kilkadziesiąt (jak w Polsce) specjalności, zawodów, rodzajów. O czymś podobnym w handlu, zdaje się, nie może być mowy: co sklep, to inny asortyment, tutaj sprzedaż wyłącznie jednego artykułu, tam — „handel towarów mieszanych", raz chodzi o hurt, to znowu o detal, a przecież istnieje mnóstwo form pośrednich. W tych warunkach nauka zawodu musiałaby być albo bardzo wszechstronna, albo bardzo jednostronna. Nie można zaś sobie wyobrazić, że kandydat opanuje expedite różne wiadomości ze wszystkich dziedzin handlu, jak z drugiej strony trudno zabronić kupcowi kolonialnemu przerzucić się następnie do handlu np. mąką lub cukrem.

Istnieje wreszcie różnica w metodzie pracy i nauki: rzemiosła, t. zn. umiejętności wykonywania danego przedmiotu, można się nauczyć nawet w celi klasztornej (są tego dowodem okazy wspaniałej sztuki kościelnej), handel natomiast wymaga stałego i bezpośredniego kontaktu z życiem, z ludźmi, ze zwyczajami, z nastrojami i t. d.

Na boku pozostawiamy sprawę — przynajmniej w Polsce — dosyć ważną, sprawę podatkową. W przemyśle (i rzemiośle) obowiązuje, jak wiadomo, 8 kategorii świadectw przemysłowych, a różnice w cenie pomiędzy odnośnymi świadectwami są względnie małe, w handlu natomiast świadectwa przemysłowe dzielą się tylko na 5 kategorii, przy czym skok np. z kategorii III (1 pracownik dorosły lub 2 młodocianych) do kat. II jest b. silny, co powoduje niechęć kupców do zatrudniania dodatkowych praktykantów.

Kupiectwo, zwłaszcza kupiectwo polskie, uskarża się na obecność w handlu elementu fachowo nieprzygotowanego. Aczkolwiek trudno ustalić, który kupiec jest fachowcem, który zaś nim nie jest, można przyjąć, że istotnie pewne grupy kupców uprawiają handel prymitywny i to prymitywnymi środkami. Kupcy, w szczególności posiadacze patentów II kat., skarżą się na konkurencję posiadaczy świadectw III i IV kat., a często na handlujących, którzy w ogóle świadectw przemysłowych nie wykupują. Te mniej lub więcej słuszne utyskiwania dotyczą jednak zupełnie odrębnych kwestii. Co innego, gdy jeden sprzedawca płaci podatki, a drugi ich unika, co innego, gdy jeden ma duży sklep, a drugi kontentuje się małym (i tańszym) sklepikiem, wręcz co innego, gdy jeden przeszedł szkołę zawodową i praktykę kupiecką, a drugi został kupcem bez żadnego „stage'u".

Ankieta, przeprowadzona przed paroma miesiącami przez Stowarzyszenie Kupców Polskich w Warszawie, a opublikowana w ostatnim (19) numerze „Tygodnika Handlowego", pomyślana była właśnie pod kątem cenzusu w handlu. Inicjatorom ankiety

---

[1]) Dr. J. Buzek „Administracja gospodarstwa społecznego", (Lwów 1913), str. 287.

chodziło, jak się zdaje, o udowodnienie, że do handlu bierze się element handlowi obcy, t. zn. nie związany tradycją, pochodzeniem, czy praktyką z kupiectwem istniejącym, element jakoby wprowadzający do handlu zamieszanie, gdyż niezdolny do normalnej kalkulacji i normalnych metod handlu, element przypadkowy i dorywczo handlem się interesujący, słowem — ludzie bez stwierdzonego w sposób formalny dowodu uzdolnienia.

Przyjrzyjmy się wynikom ankiety. Potwierdziła ona znane z obserwacji zjawisko, że do handlu garną się ludzie, którzy poprzednio nic z nim wspólnego nie mieli. Zjawisko naturalne, skoro handel *rozwija się* i ma się rozwijać, skoro społeczeństwo polskie przestało patrzeć z wysoka na tych, co się „łokciem i wagą" parają, skoro wreszcie i szkolnictwo handlowe i praktyki w handlu pozostawiają (przede wszystkim w sensie ilościowym) jeszcze b. wiele do życzenia. Stąd wnioski ankiety, że w stolicy 57%, a na prowincji nawet 78% *zorganizowanego* kupiectwa *chrześcijańskiego* rekrutuje się z osób, które „do handlu przyszły dopiero później, zajmując się uprzednio innym fachem" (przeważnie jednak byli to ludzie, „bez zawodu") — nie napawają nas pesymizmem; fakt, że do handlu garną się ludzie, dotychczas stojący poza nawiasem czynnego życia, jest dodatni, tym więcej, że traktują oni swój fach poważnie, czego dowodem jest chociażby to, że się organizują, a nie uprawiają korsarstwa.

Interesujące są również i dalsze wyniki ankiety. Tak np. okazało się, że w stolicy 93%, a na prowincji 85% zorganizowanych kupców chrześcijańskich posiadało co najmniej średnie wykształcenie (w tym 11 wzgl. 10% ściśle zawodowe), co stawia kupców znacznie przed rzemiosłem, a nawet przed... naczelnikami urzędów skarbowych. Szczegółowe zaś badania rezultatów ankiety wykazują, że „element, posiadający przygotowanie zawodowe, jest znacznie młodszy od elementu, który tego przygotowania nie posiada, czyli, że element właściwie do praktykowania zawodu się nadający pod względem wieku odpowiada innym grupom społecznym. Jest to oczywiście objaw pocieszający".

I my jesteśmy tego samego zdania. Zapewne, odsetek kupców z wykształceniem specjalnie zawodowym, jest jeszcze nieduży, ale to jest zjawisko ogólno-polskie i dlatego nie ma powodu do wprowadzenia cenzusu właśnie w handlu. Zresztą nie o przygotowanie teoretyczne chodzi, a o praktykę. Tę zaś daje życie, które nie pozwala stawiać *jednostronnych* przeszkód w postaci cenzusu formalnego. Problem leży nie w tym, kto jaką szkołę ukończył, lecz w tym, czy posiada silne czy słabe ręce. Tym samym program działania powinien uwzględniać przede wszystkim konieczność finansowego, organizacyjnego i t. p. wzmocnienia słabych rąk. Rentowność zawodu kupieckiego nie zależy — jak to przypuszcza dowolnie „Tygodnik Handlowy" — od „ograniczenia dostępu do zawodu kupieckiego" (via egzamin), lecz od warunków, w jakich pracuje kupiectwo, od sytuacji na rynku i od siły nabywczej społeczeństwa.

a. f.

CENY

Jesteśmy świadkami zwyżki cen, przede wszystkim cen zbożowych. Żyto na giełdzie warszawskiej dochodzi do 20 zł. za 1 q, a ceduły giełdowe wspominają o małej podaży i o tendencji mocnej. Mamy więc to, na co czekaliśmy od 8 lat kryzysu: ceny idą w górę!...

Przyczyn obserwowanego zjawiska jest dużo i to właśnie... komplikuje sytuację. Bo byłoby wszystko w porządku, gdyby na zwyżkę cen ziemiopłodów wpływał jedynie stosunek podaży do popytu, t. zn. gdyby zwyżka cen zboża wynikała ze zmniejszenia się zbiorów na półkuli północnej. Skoro amerykańskie żniwa wypadły znacznie poniżej przeciętnej, skoro europejscy rolnicy zebrali z pola również mniej, niż w latach poprzednich, skoro wreszcie zapasy zboża na przednówku w r. b. były — w skali światowej — na poziomie niższym, aniżeli w tymże czasie r. ub., — to nic dziwnego, że naturalnym porządkiem rzeczy giełdy zbożowe reagują haussą.

Naturalne są w szczególności przyczyny zwyżki cen zboża w Polsce. Jesteśmy pod wpływem notowań zagranicznych, zapotrzebowanie na polskie ziarno rośnie, a w każdym razie posiada tendencję mocną i wyraźną, równocześnie zaś działa splot naszych własnych, autonomicznych zarządzeń, że wymienimy przykładowo moratoria rolnicze i ulgi wzgl. odroczenia podatkowe. W chwili obecnej zbiega się szereg okoliczności niezależnych od woli ludzkiej (urodzaje) i od niej zależnych (zmniejszenie nacisku płatniczego na rolników), dodatkowo zaś dochodzi czynnik specjalny, czynnik zresztą przemijający — roboty w polu, przyspieszone złymi warunkami atmosferycznymi, które przyczyniają się również do trudności transportowych, a tym samym zmniejszają podaż zboża .Nie ulega jednak wątpliwości, że te chwilowe przyczyny mogą działać tylko dlatego, że rolników nikt nie zmusza do rzucenia zboża na rynek, że po raz pierwszy od wielu lat mogą oni zastosować metodę, o której — w odniesieniu do robotników — pisał niegdyś Sorel.

Założeniu rąk rolniczych sprzyja, a raczej je dodatkowo prowokuje, element, o którym świadomie nie mówiliśmy do tej pory, jest to bowiem element specjalnego typu, „z innej beczki", niż dotychczasowe. Rolnik (a zresztą nie tylko on jeden) zajrzał do gazet i spostrzegł w nich coś, co go napawa nadzieją, że ceny pójdą jeszcze silniej do góry. Spadek najsilniejszych walut świata (franka szwajcarskiego i guldena holenderskiego) przy akompaniamencie spadku franka francuskiego, lira włoskiego i korony czechosłowackiej, niepewność co do kursu dolara, funta i marki niemieckiej — wszystko to natchnęło rolnika (i nie rolnika) myślą, że i złoty lada dzień podzieli losy swych bogatszych i wspanialszych kuzynów. A ponieważ mimo wszystko większość społeczeństwa (zwłaszcza z pośród producentów) jest głęboko przekonana, że kurs złotego utrzymać się nie może (prawdopodobnie w myśl przysłowia: „Der Wunsch ist Vater des Gedankes"), więc nic dziwnego, że tu i ówdzie co raz mocniej zaczyna się... dyskontować domniemaną dewaluację. Jest przecież publiczną tajemnicą, że przed paroma dniami w ży-

jącym pogłoskami (żeby nie powiedzieć: plotkami) Lwowie „przewidujący" detaliści podwyższyli przejściowo cenniki o 30%.

Psychoza dewaluacyjna zbiegła się z naturalnym procesem koniunkuralnej zwyżki cen zboża. Temu fatalnemu zbiegowi okoliczności zawdzięczamy zjawisko bałaganu rynkowego, bo trudno inaczej nazwać i ocenić nerwową spekulację, uprawianą i przez rolników i przez kupców giełdowych i przez handel detaliczny. Stopniowa zwyżka cen zboża (a tylko ona jest uzasadniona) dałaby rolnictwu duże korzyści, nie rujnując wskaźnika cen hurtowych i kosztów utrzymania; nieskoordynowane odruchy wygłodzonej spekulacji (a tym mianem nie należy obarczać jedynie „czarnogiełdziarzy") przyczynić się mogą do tak silnego nacisku na walutę, że zapewnienia rządu mogłyby się okazać niewystarczające. „Dewaluacja bez dewaluacji" mogłaby zmusić do porzucenia dzisiejszego parytetu i to nie dlatego, że tak chce polska gospodarcza racja stanu, ale dlatego, że — nerwy nie wytrzymały.

Z dzisiejszej psychozy cen można wyciągnąć jeden *strukturalny* wniosek: nasza wymiana (obejmująca i kupca i producenta) jest jeszcze niezorganizowana, pełno w niej elementów, należących do kategorii „słabych rąk", a wszystkie formy, jakie tej wymianie zdołano dotychczas narzucić (giełdy, spółdzielczość i t. p.), nie weszły w krew społeczeństwa. Tak, jak nie oduczono jeszcze t. zw. opinii publicznej dopatrywania się w każdej zwyżce cen wyłącznie machinacyj t. zw. ciemnych i wrogich sił.

k. b.

SAMOWYSTARCZALNOŚĆ

Niejednokrotnie pisaliśmy w Gospodarce Narodowej o tym, że stare pojęcia ekonomiczne zmieniają swą treść i przeprowadzaliśmy rewizję pojęć. *Samowystarczalność* jest pojęciem zupełnie nowym, aczkolwiek, historycznie biorąc, nie jest nowym zjawiskiem. Ta ostatnia okoliczność zaciemnia w umysłach ludzkich istotny sens dzisiejszej treści tego pojęcia. Rozumowanie idzie bowiem po linii najmniejszego oporu i poprzestaje na analogii: aha — samowystarczalność to znaczy tak, jak to było w pierwotnej komunie patriarchalnej, lub co najwyżej w średniowiecznym mieście. Od analogii jest jednak daleko do tożsamości. Wszelka analogia ma sens, jako wstęp do rozumowania i zrozumienia, ale sama przez się do zrozumienia nie wystarcza.

Rzymianie mówili: gdy dwóch czyni to samo, nie jest to to samo. Inne przyczyny i inne pobudki ludzkiego działania czynią te działania czymś różnym, mimo zewnętrznych podobieństw. Stosowanie przeto dzisiaj do samowystarczalności tej samej krytyki i tych samych argumentów, jakie wysuwała ekonomia rodzącego się kapitalizmu przeciw gospodarce średniowiecznej, samo nie wytrzyma krytyki.

Samowystarczalność pierwotnej komuny jest zrozumiała na tle braku dróg, środków komunikacji, stanu bezpieczeństwa, kultury i t. d. W tamtych warunkach nie mogło być inaczej. Słowem była to konieczność, gdyż te wszystkie przyczyny nie mogły być usunięte. Trzeba było na to wieków rozwoju ludzkości. Dzisiejsza samowystarczalność bierze swój początek z wojny i jest tłumaczona stanem rzeczy w zakresie bezpieczeństwa międzynarodowego — obawą wojny.

Zwolennicy liberalizmu integralnego powiadają przeto, że należy usunąć niebezpieczeństwo wojen, to wówczas liberalizm zapanuje na świecie znów i doprowadzi ludzkość do rozkwitu i pomyślności.

Ogólna znajomość życia jednak nasuwa refleksję, że wszystkie pobudki ludzkiego postępowania są zwykle skomplikowane i że składa się na nie wiele przyczyn. „Jednoprzyczynowość" jest zjawiskiem bardzo rzadkim. Ta, niewątpliwa chyba, prawda o ludzkiej psychice każe zastanowić się, czy dzisiejsze dążenie do samowystarczalności gospodarczej da się sprowadzić wyłącznie do zagadnienia bezpieczeństwa militarnego, czy nie tkwią w nim również i przesłanki gospodarcze.

Mówiąc „gospodarcze" mam na myśli wszelkie dążenia do zaspokojenia potrzeb. Uwaga ta jest niezbędna, bo samowystarczalność jest zwykle traktowana jako zjawisko „antigospodarcze", co należy rozumieć dwojako: że jest niezgodne z teorią liberalizmu ekonomicznego albo z interesami sfer gospodarczych i ich sposobem myślenia. My bowiem mamy w Polsce również kartele monopolizujące różne sposoby myślenia. Jeden taki kartel reprezentuje monopol na myślenie państwowe, inny narodowe a wreszcie inny na gospodarcze. W ostatnich czasach zaczyna jednak już działać trochę wolna konkurencja. Ale to en passant. Chodzi o zaznaczenie, że myślenie o potrzebach gospodarczych organizmów zbiorowych i rozumowanie kategoriami zbiorowych potrzeb gospodarczych jest tak samo myśleniem gospodarczym jak i kalkulacja abstrakcyjnego homo oeconomicus. Domagam się równouprawnienia.

Weźmy przykład hipotetyczny.

Przypuśćmy, że istnieje wyspa, prowadząca gospodarkę zupełnie zamkniętą, mającą świetne warunki do rozwoju przemysłu metalowego a bardzo złe dla włókienniczego. Mieszkańcy tej wyspy będą przeto zawsze źle i niedostatecznie ubrani, ale, rozporządzając geniuszem technicznym, będą produkowali pierwszorzędne maszyny, ułatwiające im pracę, będą budowali domy ze stali, we wszelkie wyroby metalowe, narzędzia pracy, broń, przedmioty domowego użytku, zabawki, świcidełka i t. d. i t. d. będą zaopatrzeni powyżej granic luksusu. Potrzeby tych mieszkańców będą zatem zaspakajane jednostronnie z naszego punktu widzenia, ale im może to w zupełności wystarczać i nie krępować ich rozwoju duchowego i materialnego.

Jeżeli w sąsiedztwie będzie druga wyspa, na której warunki układają się wprost przeciwnie, to może powstać między nimi wymiana żelaza na odzież. Ale musi tu istnieć rozsądna proporcja. Mieszkańcy pierwszej wyspy mogą zrzec się luksusu metalowego wzamian za odzież, ale nie zechcą zrzec się swych niezbędnych w tym zakresie potrzeb. To samo posiadacze odzieży. I wtedy powstaje kwestia: co jest potrzebą niezbędną w zakresie metali dla jednych i odzieży dla drugich?

Na przykład kwestia broni. Jeżeli pierwsza wyspa odda drugiej żelazo w takiej ilości, że tej pierwszej nie zostanie surowca dla produkowania broni, to może to być uskutecznione w wypadku, gdy odstąpiona ilość nie wystarczy również i tamtej drugiej na produkcję broni. W tych warunkach bowiem jest łatwo o pokojowe spółżycie bez paktu o nieagresji. Zjawienie się trzeciego partnera już może tę równowagę naruszyć. Zjawia się wówczas problem bezpieczeństwa, który zmusi pierwszą wyspę do postawienia problemu ograniczonej samowystarczalności w zakresie odzieżowym (ograniczonej — bo luksusu metalowego może się zawsze wyrzec), a co się tyczy drugiej wyspy, to może tam wystąpić dążenie do wybitniejszego ograniczenia spożycia wewnętrznego odzieży celem zdobycia większej ilości żelaza na produkcję broni. Wyspa ta zrobi zatem dumping włókienniczy.

Przypuśćmy jednak, że spontaniczne zapotrzebowanie ludności „żelaznej“ wyspy (wolny handel) tak podnosi zapotrzebowanie na odzież, że pełne pokrycie tego zapotrzebowania wymagałoby wyzbycie się żelaza w takiej ilości, że zabrakłoby go już nie tylko na rozbudowę ale i na renowację istniejących fabryk i wszelkich instalacyj, decydujących o całym poziomie bytu tej wyspy i jej kulturze. Wówczas zagadnienie samowystarczalności staje się problemem *gospodarczym.* Bo trudno: pan X i pani Y odczuwają potrzebę pięknego ubrania, a potrzebę budowy i renowacji kolei, wodociągów, uzbrojenia armii mogą tylko rozumieć. Ktoś musi powiedzieć: stop i zahamować pięknie rozwijającą się, zyskowną i rentowną wymianę „międzywyspową“.

Całe powyższe rozumowanie jest oczywiście uproszczone, życie zaś jest skomplikowane. Sądzę jednak, że udało mi się udowodnić, iż dążenie do samowystarczalności może mieć pełne racje czysto-gospodarcze, w rozumieniu interesów organicznych zbiorowości. Zapewne w praktyce o stosowaniu samowystarczalności decydują dotychczas przeważnie jeśli nie jedynie, względy bezpieczeństwa i praktyka ta odnosi się głównie do wymiany towarów. Można jednak powyższą metodę rozumowania zastosować do problemu importu kapitałów zagranicznych i twierdzić, co zresztą nie jest nowością, że import kapitałów zagranicznych w pewnych warunkach, mówmy zresztą konkretniej — kapitałów stosujących kolonialną eksploatację, prowadzi do zubożenia kraju. Wówczas w interesie gospodarczym zbiorowości należy stosować politykę samowystarczalności kapitałowej. Oczywiście, że jednostki i sfery, które na imporcie kapitałów zagranicznych indywidualnie zarabiają, nazwą taką politykę „antigospodarczą“. I ze swego punktu widzenia będą mieli rację. Byle by tylko ta racja nie miała praktycznego zastosowania.

z. k.

NOTATKI

ZADŁUŻENIE DROBNYCH GOSPODARSTW WIEJSKICH

Notatka niniejsza przedstawia dynamikę zadłużenia drobnych gospodarstw w województwach zachodnich w okresie lat 5-ciu (1931 — 36), t. j. w czasie i terenie, dla których istnieją odpowiednie obliczenia.

Z podanej poniżej tablicy wynika, że ogólna wysokość zadłużenia badanych gospodarstw zmniejszyła się w ostatnim roku o 13% (o 45 zł. na 1 ha) w stosunku do 1935 roku, a o 31% (o 135 zł. na 1 ha) w stosunku do 1933 roku, w którym poziom zadłużenia był najwyższy.

Rok	Ilość gospodarstw	Kredyt finansowy	Kredyt towarowy	Podatki, świadcz. i usługi	Spłaty rodzinne	Razem
		zł	zł	zł	zł	zł
1931	123	227	53	10	111	401
1933	321	260	20	11	132	423
1934	217	247	14	9	89	359
1935	210	243	8	7	85	343
1936	161	206	10	5	77	298

Spadek zadłużenia wynikać może bądź ze spłaty zobowiązań, bądź z ich umorzenia; w rzeczywistości oba te czynniki odegrały rolę. Wprawdzie ankieta nie daje dostatecznego liczbowego oznaczenia, w jakim stosunku stały spłaty do umorzeń, jednakże odpowiedzi badanych gospodarzy rzucają pewne światło na powyższe zagadnienia.

Tak więc zadłużenie kredytem finansowym spadło w porównaniu z rokiem ubiegłym o 15,2%, a o 20,7% w porównaniu do 1933 roku. Obciążenie z tytułu zaległych podatków, świadczeń i usług zmniejszyło się o 28,5% w stosunku do 1935 roku, a o 50% w stosunku do 1931 roku. Obciążenie z tytułu spłat rodzinnych spadło o 12,5% w porównaniu do 1935 roku, a o 41,6% do 1933 roku.

Natomiast zadłużenie kredytem towarowym wykazuje wzrost w stosunku do roku ubiegłego o około 20%. Na zwiększenie tego rodzaju obciążenia wpłynęły w pierwszym rzędzie nowe towary pobrane na kredyt, jak drzewo budulcowe, wapno, cegła i żelazo, oraz narzędzia rolnicze i nawozy sztuczne, a z potrzeb osobistych odzież, obuwie i t. p.; jest to więc zjawisko raczej pozytywne, wskazujące, że drobny rolnik powraca na rynek i uzyskuje na rynku zaufanie kredytowe.

Analizując bliżej zadłużenie w instytucjach kredytowych, otrzymujemy następujący obraz:

Rok	Państwowy Bank Rolny	Spółdzieln. kredytowe	Kasy Komunalne	Inne instytucje	Razem
	zł	zł	zł	zł	
1931	42	48	30	18	138
1933	73	53	19	21	166
1934	94	36	19	17	166
1935	76	36	15	34	161
1936	63	32	13	19	127

Zadłużenie w Państw. Banku Rolnym spadło o 17% w stosunku do roku ubiegłego, w spółdzielniach kredytowych o 11%, w komunalnych kasach oszczędności o 13% oraz w innych instytucjach o 44%. Znaczne zmniejszenie się zadłużenia finansowego w P. B. R. należy przypisać w pierwszym rzędzie bonifikatom, jakie zastosował P. B. R. względem niektórych dłużników. Ogólne zadłużenie finansowe w instytucjach spadło o 21% w stosunku do 1935 roku, a o 23% w stosunku do 1933 roku.

Przeciętne zadłużenie finansowe u osób prywatnych spadło w porównaniu do 1935 roku o 3,5% a o 16% w stosunku do 1933 roku.

A. S. Broda.

SKARCONE DZIECKO

Komisja, zwana „martinowską", przywiozła ze swego „tournée" po Polsce przeświadczenie o konieczności pomocy — pomocy *organicznej* — ziemiom wschodnim. Przekonania komisji podzielił sam p. wicepremier i temu, zapewne, zawdzięczamy postawienie na lutowej Naradzie Gospodarczej zagadnienia Polski „A" i Polski „B".

Polska „B" — to „zapomniane od Boga i ludzi" obszary województw wschodnich, najczęściej rozumianych jako województwa kresowe b. zaboru rosyjskiego, chociaż, prawdę mówiąc, względy narodowościowe kazałyby nie zapominać i o woj. Stanisławowskim i Tarnopolskim. Wiemy, w jakim skromnym odsetku zamieszkuje tę Polskę „B" ludność polska, wiemy, jak ubogo przedstawia się tam wyposażenie inwestycyjne, wiemy wreszcie, ile wysiłku włożyły tamtejsze sfery gospodarcze (z wileńską izbą przemysłowo-handlową na czele), aby z ołówkiem w ręku przekonać kogo trzeba o konieczności stworzenia i wykonania polskiego *programu* wschodniego.

Dużo wody upłynęło w Dźwinie, Wilii, Niemnie, Prypeci, Horyniu i Dniestrze, a wnioski „Komisji Martina" i zalecenia wicepremiera Kwiatkowskiego pozostały nadal w sferze pobożnych życzeń. Nie ma żadnego programu, nie ma żadnej koncepcji, są tylko przypadkowe, oderwane *odruchy*. Jedyny konkretny wyczyn — to obniżka o 50% stawek podatku od zwierząt rzeźnych. Dobre na początek i to, ale nie zapominajmy, że ta premia dla województw wschodnich przychodzi dopiero w rok po wyjeździe „Komisji Martina". Jak tak dalej pójdzie, to jej dezyderaty zrealizują się dopiero za lat 20.

Mówmy sobie szczerze: dla ziem wschodnich nic nie zrobiono i nie zanosi się na to, by coś uczyniono w najbliższej przyszłości. Nie ma planu akcji osiedleńczej, nie czyni się nic, aby uprzemysłowić województwa wschodnie (ulg inwestycyjnych Skarb boi się, jak ognia, święcie przekonany, że się sparzył na ulgach podatkowych dla budownictwa mieszkaniowego), nie dokonano zmiany taryf kolejowych, dostosowanej do potrzeb inwestycyjnych i konsumcyjnych ziem wschodnich, nie zreformowano — pod kątem interesu tych ostatnich — zasad polityki cen i organizacji zbytu artykułów monopolowych i skartelizowanych, nie zastrzyknięto ziemiom wschodnim właściwego strumienia kredytów...

Polska „B" ma w praktyce zupełnie inne znaczenie, aniżeli chciał jej nadać p. wicepremier. Ziemie wschodnie są tym, czym jest małe skarcone dziecko, któremu się mówi: „Jesteś „be" i za karę nie dostaniesz cukierka".

z. i.

MSZCZĄCA CIEKAWOŚĆ

Ogólne cyfry statystyczne, bez znajomości i analizy szczegółów nie mogą służyć za podstawę do daleko idących wniosków. To wiadomo. O tym wie i z tym się liczy każdy szanujący się ekonomista. Ale czasem cyfry nasuwają natrętne, nie dające się odepchnąć pytania, pytania, na które nie można tak łatwo znaleźć odpowiedzi, i w umyśle wciąż nurtuje niepokój.

Naprzykład wskaźniki. Są to cyfry najbardziej ogólne, najbardziej „wyprane" z materialnej treści zjawisk ekonomicznych. Trzeba się z nimi obchodzić bardzo ostrożnie. Oczywiście. Ale jak można sobie wytłumaczyć dlaczego kraj, który ma najniższy w stosunku do 1928 r. wskaźnik kosztów utrzymania, płac i dochodów skarbowych, ma równocześnie najniższy wskaźnik produkcji przemysłowej i bardzo daleko posuniętą dekapitalizację w podstawowych gałęziach przemysłu. Przecież niskie koszty utrzymania i tania robocizna, to są warunki taniej produkcji, a większy niż gdziekolwiek indziej spadek dochodów skarbowych oznacza poprawę w zakresie obciążenia produkcji świadczeniami publicznymi, za czym przemawia również większy spadek wpływów z podatków, ceł i monopoli niż spadek produkcji przemysłowej.

Na podstawie wskaźników wynikałoby więc, że w okresie kryzysu koszty produkcji zmalały, że warunki produkcji i powstawania kapitału w porównaniu z innymi krajami poprawiły się. Więc dlaczego jest tak źle, skoro jest tak dobrze? Dlaczego spadła produkcja, a kapitał zdewastował się? Dlaczego przy spadku kosztów produkcji należy, jak twierdzą niektórzy, podnosić ceny?

Szczegółowa analiza mogłaby te sprzeczności wyjaśnić, ale dla tej szczegółowej analizy pewno nie znajdziemy cyfr.

s. k.

„KALKULACJA"

Hodowca mówi:

„Dowiedziałem się na wiosnę że Izba Rolnicza w NN zwraca się do władz o pozwolenie wwozu 10 knurów.

Myślę sobie: ich podanie będzie załatwiane przez dwa lata. Ja siedzę w stolicy i moje zabiegi mogą być załatwione w pół roku. Sprowadzę knura jednego, a w 1½ roku potem władze nie zgodzą się na import tamtych, bo będą nowe reproduktory mojej hodowli.

Ten weterynarz z Rolnictwa trzymał moje poda-

nie ze wszystkimi niezbędnymi załącznikami dwa miesiące i potem dał pozwolenie pod warunkiem, że sprowadzę w terminie 2-ch tygodni. We dwa tygodnie załatwiłem tranzakcję, pozwolenie Komisji Dewizowej i dziś knur już jest w Gdyni.

A podanie Izby w NN jeszcze nie jest załatwione".

Życzymy hodowcy aby knur tak samo nie zawiódł jego nadziei jak nie zawiodła go kalkulacja, oparta na znajomości biegu urzędowania.

s. m.

REDAKTOR ODPOWIEDZIALNY I WYDAWCA W IMIENIU SPÓŁDZIELNI „GOSPODARKA NARODOWA" ZYGMUNT SZEMPLIŃSKI

ADMINISTRACJA CZYNNA CODZIENNIE OD 11 DO 13

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: SZPITALNA 4· TELEFON 676-73 KONTO P. K· O. 25.656

PRENUMERATA KWARTALNA 4 ZŁ. 50 GR. ZAGRANICĄ 6 ZŁ. CENNIK OGŁOSZEŃ NA ŻĄDANIE.

Zakł. Graf. DRUKPRASA, N.-Świat 54. Tel. 615-56 i 242-40.